

ROZMOWA KRONIKI

Sztuka jest zazdrosna

Muzyka. Ceniona sopranistka WIOLETTA CHODOWICZ, nowa solistka Opery Krakowskiej, zadebiutuje dzisiaj w roli Hrabiny w „Weselu Figara” Wolfganga Amadeusza Mozarta

– Od tego sezonu została Pani solistką Opery Krakowskiej. Dlaczego akurat Kraków?

– Występowałam już wcześniej w Krakowie. W 2012 roku śpiewałam w „Madamie Butterfly”, później w „Carmen”. To, że zostałam solistką Opery Krakowskiej, jest naturalną konsekwencją dotychczasowej naszej współpracy. Pracuje tu wielu śpiewaków, którzy niekoniecznie mieszkają w Krakowie, a mimo to udaje im się to godzić z pracą w operze. Duże znaczenie miała dla mnie przychyłność dyrekcji wobec działalności artystycznej solistów. Dyrektor Nowak traktuje nasze sukcesy jak sukcesy tego teatru i jest dumny, kiedy mamy okazję występować również w innych miejscach.

– Jakie ma Pani oczekiwania?

– Chcę poszerzyć swój repertuar o nowe role i Kraków taką nadzieję mi daje. Myślę o Tosce, Aidzie i partiach, które będą dla mnie krokiem naprzód. Na pewno taka będzie Elżbieta w „Tannhäuserze” Richarda Wagnera.

– Dołączyła Pani właśnie do obsady „Wesela Figara”.

Jak to jest wchodzić w gotowe przedstawienie?

– Na pewno doświadczenie, rutyna bardzo pomaga w takich sytuacjach. Przygotowania do premiery to są tygodnie pracy z reżyserem, a kiedy „wskażujemy” w gotowy spektakl, ten czas jest skrócony do kilku prób poprzedzonych obejrzeniem spektaklu na DVD. Ale tak naprawdę takie „ekspresowe wejścia” to chleb powszedni. Moje pierwsze doświadczenia sceniczne – „Czarodziejski flet”, „Cyganeria” we Wrocławiu – to były wejścia w gotowe już spektakle. Pamiętam mój debiut w poznańskim Teatrze Wielkim, właśnie w „Weselu Figara”. Przygotowałam swoją partię po włosku, bo śpiewanie w oryginale było dla mnie czymś oczywistym. Na pierwszej próbie muzycznej okazało się, że tylko ja jedna śpiewam po włosku, a wszyscy po polsku. Na szczęście łatwiej było w tak krótkim czasie przeuczyć



FOT. ARCHIWUM ARTYSTYKI

Wioletta Chodowicz jest zdobywczynią m.in. Paszportu Polityki

się tekstu z włoskiego na polski niż odwrotnie.

– Pracowała Pani m.in. z Krzysztofem Warlikowskim, Mariuszem Trelińskim i Natalią Korczakowską. Jaki ma Pani stosunek do reżyserów-eksperymentatorów?

– Nigdy na szczęście nie spotkałam się z taką sytuacją, kiedy reżyser każe robić na scenie jakieś dziwne rzeczy. Mam takie podejście, że jeśli coś mnie nie przekonuje, to wolę dopytać, staram się zrozumieć ideę. Cenię sobie tę część pracy nad dziełem, jaką są próby reżyserskie. Praca z wybitnymi reżyserami, których Pan wymienił, miała wpływ na to, jaką jestem artystką. Nie przeceniałabym jednak roli reżysera w teatrze operowym. Uważam, że reżyser jest dopiero na drugim miejscu po kompozytorze. Jeśli spojrzymy na dzieło operowe, to pewne emocje są w nim zapisane już przez intonację, rytm i pauzy. To kompozytor jest pierwszym reżyserem.

– Na koncie ma Pani wiele ról, ale szczególne są te spoza żelaznego kanonu operowego, jak choćby tytułowa „Katia Kabanowa” w dziele Leoša Janáčka.

– To dla mnie bardzo ważna rola. Miałam już wtedy za sobą udział w „Rusałce” A. Dvořáka w Operze Narodowej w Pradze i nawet trochę nauczyłam się mówić po czesku. Prawidłowa wymowa jest bardzo istotna u Janáčka. Trzeba wiedzieć, jak akcentować słowa, pamiętać o długości samogłosek. Mieliśmy szczęście, że w Warszawie za kierownictwo muzyczne odpowiadał Tomasz Hanus, który jako Czech bardzo nas pilnował w kwestii języka. Janáček dla Czechów to taki ich Puccini, choć oczywiście bardziej nowatorski.

– M.in. za tę rolę otrzymała Pani Paszport Polityki. Czy ta nagroda stała się przepustką do dalszej kariery?

– W jakimś sensie na pewno tak. To bardzo prestiżowa nagroda, którą otrzymali wcześ-

niej Agata Zubel, Mariusz Kwiecień, Łukasz Borowicz czy Artur Ruciński. Gdy zostałam laureatką, czułam większe zainteresowanie moją osobą i otrzymywałam więcej propozycji. Nie wszystkie szanse mogłam wtedy wykorzystać, bo miałam do odegrania ważną rolę w życiu osobistym. Spodziewałam się wtedy drugiego dziecka.

– Macierzyństwo przeszkadza czy pomaga w tym zawodzie?

– Na pewno trochę przeszkadza, nie oszukujmy się. Czasami myślę, że to zawód dobry dla singli. Jest wielu śpiewaków, którzy wybrali takie samotne życie, bo „sztuka jest zazdrosna”. Z drugiej strony rodzicielstwo może wpływać na wzbogacanie naszych emocji, które budujemy na scenie. Jako aktorzy potrzebujemy różnych doświadczeń życiowych i chętnie czerpiemy z tych, które dają nam jakąś refleksję. Zdolność empatii i wrażliwość pozwalają lepiej wczuć się w los bohatera. Wiele można także nauczyć się od dzieci.

– Przyzwyczały się, że nie zawsze jest Pani w domu?

– Są bardziej przyzwyczajone od tych dzieci, które mają mamę zawsze na miejscu. Jednak wyrażają swoje niezadowolenie, gdy wyjeżdżam. Na szczęście mój mąż, który też jest muzykiem, ma bardziej stacjonarną pracę. Dzięki temu mają stabilizację.

– Słuchają Pani śpiewu?

– Syn był ostatnio na moim koncercie i bardzo się wzruszył. Zawsze jak śpiewam, słyszę od nich komplementy. Wystarczy, że wydam z siebie dwa dźwięki i już mówią „pięknie śpiewasz, mamusiu”.

– Pójdą w Pani ślady?

– Syn chodzi do szkoły muzycznej i uczy się grać na waltorni. Córką jest w przedszkolu i na razie mówi, że chciałaby grać na trąbce. Jeśli kiedyś powie, że chciałaby śpiewać, to jej pomogę. Chciałabym jednak, żeby oboje wykształcili się w takim kierunku, w jakim sami chcą. ©

Rozmawiał Mateusz Borkowski